

Paulina Bukowska *Córeczka* (2010)

Gdy wyprowadzili mnie na powietrze, wylałam łzami kłęby gęstego dymu, który wwiercił się w każdy skrawek poparzonego ciała. Zemdlałam dopiero, gdy spod czarnej folii wysunął się pukiel nadpalonych włosów.

\*

Nie wysuszyłam ich. Wgryzłam się w jej niedokończone jabłko i wyszłam, nie obejrzawszy się. Stała przed zaparowanym lusterkiem i rysowała palcem kształt swojej owalnej głowy. Zamknęłam drzwi, które przytrzasnęły i rozerwały pępowinę płaczącą się przez całe nasze wspólne krótkie życie.

Te spędzone razem dni nad mętym jeziorem kończone pomarszczonym zachodem w tafli wody i podsumowywane nocnymi kłótniami o trudach i bajkach życia spłonęły i uniosły się teraz nierównym płomieniem ponad chmury. Jeszcze dużo później zlepiły się w tłuste okruchy na dwóch talerzach mojego przegotowanego mózgu. Ogień trawił mój spokój. Ja spokojnie trawiłam ogień.

To będzie mój rachunek, rachunek za sumienie, którego nie mam, a kwota bezustannie powiększa się o kolejne zera. Mogę zapłacić, mogę zapłacić za grzechy, którymi usprawiedliwiam tragedię, mogę kupić odkupienie, stać mnie na każde przykazanie, nie boję się żadnej cyferki. Matematyka mojego życia rozbija się o liczby, bo kocham zliczać i dokładać, mogę sobie odjąć każde słowo i rozdzielić wątpliwości. Nauczyłam się, że wszystko można sprowadzić do prostszej postaci, a każde zadanie jest do wykonania, wystarczą logika i rozum. Gdybyśmy tylko przestali wszystko potęgować i obtaczać grubą warstwą sfery duchowej i uczuciowej. Zakiszamy się słodką emocją, której nie można później

przepłukać żadnym rozumem, żadnym sensem. Zbieramy lizaki miłości i zaklejamy się. Tym słodkim uczuciem, od którego omdlewa mózg.

Teraz próbuję cofnąć się w swoich wspomnieniach i przewrócić je na lewą stronę. Przeprać swoje ciało i ułożyć raz jeszcze równanie swojego życia po utraceniu jednej z cyfr. Nadszedł czas, by wykonać zadanie z gwiazdką i ruszyć natychmiast z miejsca, przestać kręcić się w kółko i uparcie trzymać skreśloną już liczbę, bo nigdy nie uzyskam wyniku. W życiu nigdy nie ma czasu na wątpliwości i rozpuszczanie się we wspomnieniach. Bez duszy i emocji, bez kwaśnego łkania w miękkiej plusz trzeba wszystko zmienić na pustaki, rozdrobnić w cement i wsmarować w naskórek. Napęcznić, przystroić się pancerzem i przetoczyć przez szkło bolesnych myśli. Nigdy nie można się zatrzymać i przerwać tego, co się budowało, bo odpadła jedna cegła. Można się co najwyżej przebudować. Nie przeczekać i nie przeproszać. Przeżyć.

## X

Prawdopodobnie zdradzałam męża tyle razy, ile razy on deklarował pod kołdrą jednonocną miłość swoim kochankom. To było bardzo proste zadanie, dziesięć lat wspólnego życia bez oświadczeń, obietnic i że cię nie opuszczę aż do śmierci. Dziecka nie planowaliśmy, dziecko nie było do kariery, dziecko nie wpisywało się w obecny trend naszego pędzącego życia. Pewnego dnia okres zanikł, a ja rozpoczynałam dzień od klęczenia nad sedesem. Wycieńczony organizm i policzki wypchane śledziem z ogórkiem konserwowym. Cierpiałam i żałowałam, nie myślałam o aborcji, ale utknęłam na żółtym świetle pomiędzy „jedź” a „stój”, kiedy cały czas trzymasz nogę na gazie i zastanawiasz się, czy docisnąć mocniej, czy ostro zahamować. Byłam wielbicielek szybką jazdy, więc docisnęłam mocniej. Postanowiłam to zaakceptować

i potraktować nasze nowe życie jak lutownicę, która scali nasz związek i jeszcze bardziej go wyidealizuje. Dorysuje nam uśmiechy za uszy. Zaczęłam nawet cieszyć się tą myślą, gładzić brzuch i puszczać mu leśną muzykę ptaków. Nie przejmowałam się przytulaniem napęczniałego wodami płodowymi brzucha do zimnej ściany, podczas gdy moja druga połowa tonęła w ciepłych damskich pościelach okraszonych drogimi wodami perfumowanymi. Bał się tej dzikiej krągłości, uciekał jak najdalej od pulchnego ciała i w ramach pieszczot przejeżdżał raz po raz wierzchem dłoni po moim zapadłym policzku. Spełnił się jako celny strzał w macicę, ale trofeum do polerowania i nabłyszczania przez ponad pół roku pozostawił mnie.

Obcych i dziwek brzydził się. Znałam wszystkie jego kochanki, zazdrościłam im poszczególnych elementów, których mi brakowało. Widziałam w nich swoje defekty, piękno w miejscu moich niedoskonałości. Doprowadzał mnie do hysterii, gdy później omijał te brzydkie fragmenty mojego ciała. Wobec tamtych był subtelny i elegancki, podczas gdy mnie ostawała się nieatrakcyjna, obrzydliwie przesłodzona miłość i zaciśnięte usta o suchych wargach. A nasza lutująca pępowina z każdym fałszywym pocałunkiem, owinięciem wokół kolejnej smukłej talii, wydłużała się i stawała coraz bardziej elastyczna. Zamiast zacieśniać i scalać, przystosowywała się do sytuacji. Specyficzny układ, jaki wkradł się w nasze cztery ściany, stworzył stereotyp miłej i szczęśliwej rodziny, filmowy obraz zamożnego małżeństwa z firmą i brakiem czasu, gdzie skoki w bok stają się marginesowym zaspokajaniem nudy. Trudny nawias, który trzeba rozwiązać, by iść dalej, a który my przesuwaliliśmy ciągle do przodu, nie biorąc w naszym wspólnym życiu pod uwagę tego, co zamykało się w tych dwóch łukach. Nikt tu nigdy nie przyznał się do zdrady. Ona tkwiła za cienką zasłoną naszego łóżka i ujawniała się w nienaturalnych i spokojnych gestach. Delegacjach, wyjazdach służbowych, spotkaniach z przyjaciółką czy na piwie w gronie znajomych.

I tylko mgielka delikatnego aromatu kwiatowych perfum zdradzała cel nocnego wypadu. Zawsze po wślizgnięciu się do łóżka wtulał zapach innej kobiety w moje włosy. Był namiętny i kochał mnie wtedy całym sobą. Akceptowaliśmy siebie nawzajem, bo nasze życie wypełnione było po brzegi rozgałęzieniami sukcesu, wspinaniem się po wisienki na kolejne torty, rozkrajaniem kariery. Ja zawsze myślałam mózgiem, nigdy sercem. Byłam drugim nieplanowanym dzieckiem, dla którego nie starczyło ambicji i zapału rodziców, choćby szklanki uczuć, dlatego całe swoje życie postanowiłam poświęcić karierze. Mój mąż Krzysztof okazał się równie ambitnym człowiekiem, sięgał chmur, mimo że siedział już wygodnie w koronie drzew. Nie zakochaliśmy się w sobie – zapracowywaliśmy się. Moja agencja reklamowa pulsowała siedem dni w tygodniu, a ja wolne chwile po pracy spędzałam przed telewizorem, obserwując konkurencję, wertowałam gazety i wycinałam hasła, motta, nagłówki – zajmowałam się tworzeniem błyszczącej oferty lepszego życia. Moim zadaniem było przekonywać, że zawsze stać cię na więcej od innych, więcej możesz i więcej osiągniesz z pomocą tego, co akurat miałam sprzedać. W ten sposób mobilizowałam do życia miliony ludzi przy użyciu jogurtów niskokalorycznych, mjakmiłości, billboardów z pikselowymi uśmiechami o wybielonych zębach. Aplikowałam sobie pracę prosto w żyłę, funkcjonowałam dzięki niekończącemu się efektowi zapracowywania, przepracowywania, wypracowywania sobie flaków. I bez przerwy zwiększałam dawkę, bo to uwielbiałam. Życie to tylko film, trzeba grać wiele ról, a ja otaczałam się różnorodnymi światami i w każdym z nich potrafiłam odnaleźć sens, szczęście i pieniądze. Z każdej sceny schodziłam z pomysłami na sukces, bo potrafiłam być człowiekiem sukcesu w każdej narzuconej mi sytuacji. Żyłam na wielkiej estradzie, skąd chciałam głosić prawdy zbudowane na kłamstwie, zabawiać widzów ich własną głupotą, wzruszać serca

i rozluźniać portfele, manipulować emocjami. A wszystko po to, by uszczęśliwić.

\*

Miała mieć międzynarodowe imię. By poślubić bogatego Szwajcara i otworzyć sobie drogi do światowej kariery. Dżesika, Dżenifer, Amelia. By skończyć jako pierwsza kobieta na ziemi. Matka wszystkich grzeszników, zdradzonych i zdradzających, porzuconych, niekochanych i rozsiewających ziarna miłości – Ewa.

Gdy w duszonym w sobie bólu wydawałam na świat obleczone pomarszczoną skórą jabłko nowego życia, towarzyszyła mi szefowa z pracy, przyjaciółka, koleżanka ze spotkań przy kawie, znajoma od nagłych nocnych telefonów – Maciej. W roli nieobecnego męża ścisnął mnie za spoconą rękę i wypatrywał w moich oczach emocji i uczuć. Do końca pozostawałam niewzruszona. Liczyłam oddechy, mnożyłam wulgaryzmy. Kiedy pobłogosławiona życiodajnym uśmiechem lekarka położyła mi wilgotne i wybrudzone matczynym śluzem wierzgające stworzenie na brzuchu, zacisnęłam zęby, by powstrzymać się od płaczu złości i nienawiści. Poczułam zmianę, która gruchnęła mi na podbrzusze. Wyplułam z siebie lekarstwo na nasze przyszłe dni. Łysa kulka, obtoczona w moich cechach, była wtedy tak mała i głupia, tak bezbronna i niezdolna do życia. Początkujący nieudacznik, którym miałam się zająć, któremu miałam znowu poświęcić całą siebie, swoje myśli, mleko, cele, by uczyć go tych wszystkich czynności, które są tak proste i oczywiste. Poczułam, jak wielka skóra rozciągnięta na brzuchu opada z powrotem na dawne miejsce, ale już nic nie było tak jak przedtem. Poczułam, że nie jestem gotowa. Poczułam, że zniszczyłam dotychczasowe życie, zwęziłam sobie drogę i wplątałam się w matkę.

Maciej pogłodził mnie po policzku. Ojciec dziecka z bukietem kwiatów oniemiał w drzwiach i wyrzucił z siebie szczęście i radość.

\*

Przez pierwsze tygodnie przyzwyczajałam się do jej spojrzeń i gestów. Nieumiejętnie brałam ją na ręce i kołysałam, wzbudzając zniechęcone wybuchy hysterii. Trzaskałam drzwiami i wychodziłam do pracy. Zwiotczałam i wisiałam na kościach, zapadłam się w policzkach i oczodołach. Przez te pierwsze tygodnie niecierpliwie i boleśnie zrzucałam starą skórę i próbowałam pokryć się twardym pancerzem. Chciałam znów odżyć i napęcznić, przedawkować adrenalinę, odurzyć się energią, ale natrafiłam na beton. Nie mogłam przebić się przez strumień lawy, który zastygł i z którego nie mogłam już wydłubać żadnego pomysłu. Czułam się jak skamieniały gargulec, który tkwi gdzieś wysoko i pluje ściekami.

On radził sobie jak rodzic. Uśmiechał się dużo i mówił pojedynczymi zdaniami. Nazywał przedmioty, ludzi, zjawiska. Tylko przy nim zasypiała. Budząc się, była skazana na jego nieobecność i mój brak starań o pozyskanie jej akceptacji. Kiedyś przyprowadził kochankę z firmy – tę z ładnie wyrzeźbionym nosem, moim największym kompleksem. Wpadłam w szal i nie pozwoliłam innej kobiecie dublować mojej roli. Wyjechałam na weekend do Macieja i codziennie rano pilnowałam, by otwierając oczy, widziała mój podsuwany jej pod kołyskę uśmiech. Długo ćwiczyłam przed lustrem i stresowałam się występem przed tym wymagającym widzem. Wydawało mi się, że tak naprawdę jest mądrzejsza ode mnie. Że wszystko widzi i rozumie, sprawdza mnie, prowokuje do robienia głupstw. Że jest takim zwykłym człowiekiem oszukującym dla osiągnięcia własnych celów.

Nauczyłam się wreszcie rozumieć i rozróżniać jej gaworzenie i znosiłam każde marudzenie zakończone płaczem. Po powrocie do domu byłam gotowa włożyć w obowiązek wychowywania niemowlaka uczucia i kontrolowane emocje. Zauroczyłam się.

Minął rok, dwa, trzy. Na moich dłoniach pojawiły się zmarszczki rodzicielstwa. Wirowałam w szalonym świecie razem z dzieckiem na ramieniu. Zabierałam ją wszędzie, po płaczliwym roku postanowiła sztywno podporządkować się twardym regułom rzeczywistości, wystawiała połowę języka i smakowała potu życia, dostawała rumieńców, gdy szybko przebiegałam między piętrami biurowca, zasypiała zawsze na przerwie na lunch, budziła się przy pierwszym telefonie, który ożywił mój pokój. Wszyscy mówili, że zwariowałam, że odbieram dziecku dzieciństwo, że je wykończę, że się pochoruje, że zjem, że zniszczę. Nie miałam zamiaru podporządkowywać swojego życia jej, to ona musiała wpasować się w mój rytm i wkrótce pulsowała równo z moim tętnem.

To ja zawsze byłam dzieckiem w tym duecie, klęczałam przy projektach, kuciałam nad gazetami, siedziałam wokół czystych kartek i spoglądałam z dołu na jej smukłą postać na kanapie. To nie było dziecko, to był ułamek mojego życia, pewna część dopełniająca resztę, skakała między licznikiem a mianownikiem, a ja zastanawiałam się, kiedy będzie całowita.

\*

Kiedy byłam mała, mama sprzedała mnie w Australii.

\*\*\*

Chcesz więcej? Napisz do mnie: [paulina.bukowska@gmail.com](mailto:paulina.bukowska@gmail.com)